



Roman Lipiec

część I z II

Sygnatura notacji: **N0353**

Data urodzenia: **12.12.1925 r.**

Data nagrania: **05.12.2022 r.**

Miejsce nagrania: **Centrala IPN, Warszawa, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Julia Krajewska**

Czas nagrania: **część I: 55 min, część II: 38 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Roman Lipiec: Ja się urodziłem w Poznaniu w 1925 roku w dzielnicy Dolna Wilda. Mój ojciec nazywał się oczywiście tak jak ja, a mama Stanisława Włodarczak. I tam mieszkaliśmy jakiś czas, ja nie wiem, bo byłem dzieckiem. Stamtąd przenieśliśmy się na rok na taką dzielnicę Starośenka czy Starośęka, nie wiem, jak to się pisze. Stamtąd na Jeźyce i z Jeźyc do takiej miejscowości jak Krzyżowniki. To jest ciekawa miejscowość, te Krzyżowniki, bo ta miejscowość to jest duża wieś, murowana oczywiście, nawet z młynem parowym, ale głównie to o tej atrakcyjności Krzyżownik decyduje Jezioro Kierskie. Ono prawdopodobnie powstało jeszcze z okresu spływu lodowców skandynawskich. Głębokie, szerokość ma około 1,5 km, ale długości około 5–7 km z Kiekrza do Krzyżownik. Oczywiście ono już poważnie zmałało. To były oczywiście nasze tereny zabaw dla dzieci i tam się różne rzeczy zdarzyć mogły. Można było nawet i utonąć, bo były tam też torfowiska. Moja siostra nawet tam się topiła. Tylko tam jeden kolega ją wyratował. Tam zacząłem chodzić do szkoły. Szkoła w Krzyżownikach była tuż przy wsi, bo to była taka wieś dość duża i taka dość przemysłowa. Tam strzech nie było, tylko były domy murowane i dachy z papy. W tej szkole chodziłem do piątej klasy. Od piątej klasy zacząłem chodzić już w nowej szkole, przy czym to była szkoła sześcioklasowa. A od pięćdzies... jakiego tam... Zaraz sobie przypomnę. Od 1936 roku chodziłem już do nowej szkoły, siedmioklasowej, nowej szkoły wybudowanej, nie wiem, z jakich tam funduszy. Oczywiście wybudowana tam też została parafia i kościół, bo przedtem nie było nawet kościoła. Trzeba było chodzić na piechotę do Kiekrza, a to było dobre 5 km. To my żeśmy tam raczej nie chodzili. Szkoły w Poznaniu były inaczej oznakowane, bo tam najlepszy stopień to była jedynka, a najgorszy to była czwórka. Jak ktoś dostał czwórkę, to był załatwiony już, a jak jedynkę, to było dobrze. Życie niby toczyło się normalnie, ale coś tam było nienormalnego, bo przy nas tam było lotnisko Ławica. To i pani pamięta, że było takie lotnisko, 3. Pułku Lotniczego było przy Ławicy, przy Poznaniu. I były różne zdarzenia. Często były te samoloty takie małe, jednomoto-

rowe i one spadały. Ja byłem bardzo często przy takich wypadkach samolotowych. Ale jeden z nich opowiem. Nie wiem, jakiś nauczyciel nas, chłopaków, zostawił chyba z siedmiu. Po szkole jako areszt żeśmy mieli tam siedzieć w tej szkole. To było na wysokości jakiegoś prawie że pierwszego piętra. W pewnym momencie, oczywiście my jako chłopcy żeśmy się nie czuli winni, oczywiście to była nieprawda. Na pewno jakąś winę ponosiliśmy. W pewnym momencie nad szkołą zawarczał samolot i przeleciał nad budynkiem może 5–8 m, i wylądował niedaleko. Mieszkając przy lotnisku, ja wszystkie samoloty znałem. To był Potez francuski dwuosobowy, wojskowy oczywiście. To myśmy już jako chłopaki nie czekali, że nas ktoś wypuści. Sami otworzyliśmy okna i wyskoczyliśmy z tego pierwszego piętra. I do tego samolotu. To było nasze największe zdarzenie w tej szkole. I dobiegliśmy. Kiedyśmy dobiegli, to z drugiej strony już jechała sanitarka i techniczne pogotowie. I zaczęli ten samolot remontować tam na miejscu. Po wyremontowaniu, oczywiście z tego osiedla tam przyszło dużo ludzi, to powiedzieli nam piloci, że będą startować. I rzeczywiście, kazali nam, a przede wszystkim dorosłym, ten samolot trzymać jako siłę oporową, bo okazało się, że on potrzebował, zresztą tak jak każda maszyna, żeby nabrać rozpędu, to trzeba ją było przytrzymać. Przytrzymaliśmy, potem w pewnym momencie ten instruktor powiedział: „Puścić i uciekać z tego terenu”. Pilot dał gaz. Wie pani, że jak z tego ogona tam ta rura wydechowa, jaki tam szedł szum i wiatr, ten wiatr takie dzieciaki to przewracał, taki mocny był wiatr. Samolot wystartował i poleciał na lotnisko. I tu się sprawa skończyła. Ale tam były też inne przypadki. Przeprowadziliśmy, moja siostra Teresa, to była wtedy najmłodsza, mama gdzieś poszła, prawdopodobnie poszła na rynek, zostawiła mnie, żebym ją tam pilnował, ale ja byłem, aha, przy czym Teresa nie widziała na oczy. I kazała mi pilnować, ale akurat w tym momencie przyszło wojsko na Kozi Rynek, bo tam był Kozi Rynek. Tam kuchnię rozłożyli, gotują te swoje zupki, tam ćwiczą. W pewnym momencie wojsko robi odmarsz. Ja patrzę na tę swoją Teresę, mamy nie ma, pójdę za tym wojskiem. Patrzę, ona sobie śpi, ale ona nie widziała na oczy. Poszedłem za wojskiem, jakieś, ja wiem, że 3 km. Ci żołnierze to nam zupy dali, jaka dobra była ta zupa, ta wojskowa. Dali nam tej zupy zjeść. Ale ja mówię: „Trzeba wracać do domu, bo tam siostrę zostawiłem”. Jak ja wróciłem do domu, a to było że 3 km, to siostra tu przy oczach miała krew. I przy jednej, po prostu pełno krwi było. I co się okazało? I na ten moment przyszła mama z tego rynku, z Poznania. I prawie zaczęła płakać. I na mnie jakiś powróż szykowała, żeby mi tam przylać trochę. Ale patrzy, Teresa ma oczy otwarte. I mówi: „Mamo, ja widzę”. Ona już miała tak, ja wiem, parę miesięcy miała. I mówi, że widzi. Czy mamó mówiła, to ja nie wiem, ale że widzi. To mama już, zamiast mnie tłuc, to się bardzo cieszyła. I tak Tereska przewidziała. Zresztą później, jak się okazało, moja siostra Teresa to była... Muszę policzyć na palcach. Mieta, ja, Wanda, Alina i Teresa. Piąte dziecko.

Julia Krajewska: Pięcioro było was w rodzinie, dzieci, tak?

Roman Lipiec: A potem jeszcze jedno przyszło, szóste. Proszę pani, w tym czasie, to był 1935 rok, 1935/1936 rok, najładniejszą dziewczynką na świecie była Shirley Temple. Słyszała może pani o niej, o takiej dziewczynie? Amerykanka, mała dziewczynka Shirley Temple, ale ja powiem tak, bo tak ludzie mówili, że Teresa była ładniejsza od tej Shirley Temple. To było piękne dziecko z tej mojej siostry, ale już w tej chwili nie żyje, umarła.

Julia Krajewska: Wróćmy może do Poznania. Państwo mieszkają tam w Poznaniu.

Roman Lipiec: I wtedy żeśmy się przeprowadzili pod taką stację, ławica się nazywała. Stacja kolejowa ławica.

W tej chwili to się nazywa Poznań Wola. Zupełnie inaczej. Ja tam byłem po wojnie chyba ze 2 razy u tych państwa, u których żeśmy mieszkali. I, proszę pani, jak Teresa przewidziała, to mama się ucieszyła, ale ojciec nie, bo muszę jednocześnie powiedzieć, że mój ojciec był kowal, ślusarz i monter. Mojego ojca bardzo często nie było i pracował u Cegielskiego, co zresztą nie było takie bardzo łatwe u Cegielskiego pracować. I bardzo często wyjeżdżał, a nawet do Wilna, do Warszawy, do Łodzi, do Pruszkowa, Mikuliczyn jakiś był, pamiętam, na Podkarpaciu, na montaż albo mostu, albo elektrowni, albo jakiejś gazowni. Dlaczego? Dlatego, że jak tam pojechał, to bardzo dobrze zarabiał, bo jeżeli tu ktoś miał np. 90 groszy na godzinę, haha, 90 groszy to było dużo. Za 90 groszy to były 3 bochenki chleba. To ojciec tam potrafił razem z dietą zarabiać około 5 złotych. To były ogromne pieniądze przecież, 5 złotych było przed wojną. Ojciec naprawdę to nawet nie wiedział, że ona nie widziała. Nawet nie wiedział, mama nie musiała nawet ojcu tłumaczyć, bo ojciec przyjeżdżał nieraz co 4 tygodnie, nieraz co 2 miesiące, bo tego wymagał interes tego zakładu pracy. I przeprowadziliśmy się pod stację Ławica do willi państwa Mieczników. I tam żeśmy mieszkali do samej wojny. Mój ojciec przed samą wojną wyjechał do Warszawy. Zresztą w Łodzi byłem 4 tygodnie i w Warszawie byłem 6 tygodni, do 15 sierpnia. 15 sierpnia wróciłem do Poznania, aha, ja skończyłem już siódmą klasę w 1939 roku. Jednocześnie byłem harcerzem tej miejscowej drużyny harcerskiej. Jako harcerz miałem w tej drużynie obowiązki. I sobie tak nie zdawaliśmy sobie sprawy, że ta wojna będzie. Chociaż w tym naszym domu mieszkał, na pierwszym piętrze mieszkał niejaki Cylke. To był Niemiec. On to przepowiadał tę wojnę. Oczywiście Niemiec. A resztę było nas tam 3 lokatorów, wszyscy byliśmy Polacy. I 1, nie, 3 września... Aha, mój ojciec jeszcze przyjechał, był w sierpniu i mama go odprowadzała na stację Poznań Główny. I ojciec pojechał do Warszawy. Ale mama wróciła i pierwszy nalot bombowy. A ponieważ ja byłem harcerzem, więc my jako drużyna mieliśmy punkt obserwacyjny, żeby obserwować ruchy i zawiadamiać lotnisko o ruchach niemieckich samolotów. A na stacji, a przed lotniskiem stała nasza polska artyleria. I okazało się, że jednym celowniczym przy działku był mój kuzyn, Chudziński Edward. Ale tak się jakoś dziwnie, nie wiem w ogóle, co to się dzieje, że na 2 dni przed wybuchem wojny tę baterię zabrali aż gdzieś pod taką miejscowość Słupca na trasie Poznań – Warszawa. I, proszę pani, lecą te samoloty, słyszę, aha, i moja mama zdjęła mnie, poprosiła tego drużynowego, żeby mnie zwolnił, bo my chcemy pojechać do Warszawy. I w tym momencie właśnie, była chyba 10, walczą te samoloty, warkot tych, ich leciało ze 30 sztuk i pierwsze 2 bomby rzucili jakieś 70 m od naszego domu. A reszta poszła na lotnisko. Lotnisko się paliło. I garaże się paliły, hangary, to nie garaże, tylko hangary to się nazywa. Jakies tam zakłady paliły się od wybuchu tych bomb i burzących, i zapalających. I te samoloty zawróciły w kierunku Śródmieścia. I tam też zbombardowały trochę, ale Niemcy zawsze uważali, że Poznań to jest miasto ich. To jest „unser stadt” (nasze miasto). I tak Poznania nie bombardowali, coś dla postrachu. I, proszę pani, my już 2 września poszliśmy wszyscy na pole pod takie stogi zbożowe. I tak jesteśmy pod tym stogiem zbożowym, patrzymy, leci 7 sztuk niemieckich bombowców. I na te 7 sztuk wyskoczył jeden polski P-11. To był polski myśliwiec, P-11 Wilk. I zaatakował. I wie pani, że strącił jednego? Ci Niemcy na tych spadochronach, jak się pamięta, jak się dyndali, jak żeśmy nazwali, że się dyndają, że się tak bujali, ale Polak nie strzelał do nich, tylko ludzie miejscowi z łopatami tam lecieli. Ja nie wiem, co z nimi tam zrobili, ale na pewno żeby nie policja, toby tam ich zatłukli za te bomby. Wróciliśmy do domu, po nocy, to była sobota, po nocy już była niedziela, mama spakowała wszystko na rower, paczki, pojechaliśmy do miasta na dworzec główny. Tam mama zostawiła rower, a te paczki żeśmy wzięli do pociągu, bo dostaliśmy kartę ewakuacyjną. Wsiadamy do pociągu, jedziemy. I tak dojechaliśmy, nie, żeśmy dojechali do takiej miejscowości, właśnie człowiek stary, to zapomina miejscowości. To jest bardzo ważna miejscowość, miasto powiatowe. Jesteśmy na stacji kolejowej pełno pociągów, zatarasowane, i z bydłem, i z wojskiem,

i z nami, uciekinierami. I w pewnym momencie nadjeżdża 12 niemieckich bombowców. Jaki tam lament powstał, jak ludzie zaczęli płakać, bo zaczęją zaraz bombardować tę stację, a tam pełno ludzi. Ale ja mówię: „Mamo, mamo, tam nasze jedenastki lecą”. I rzeczywiście za nimi jakieś, ja wiem, trudno powiedzieć, ale jakieś 400–500 metrów leciało 11 jedenastek, czyli P-11. I już były z karabinów maszynowych do tych Niemców. Niemcy też ostrzeliwali, ale ja nie widziałem, żeby ktoś został strącony. Niemcy skręcili na północny zachód, ale nasi też. Za jakieś pół godziny puścili nasze pociągi. I tak żeśmy dojechali do Słupcy, powiedziałem kiedyś, tak? Tak, do Słupcy. Do Słupcy tak żeśmy dojechali. I kiedy pociąg zatrzymał się w Słupcy na stacji, tam prawdopodobnie wodę brał parowóz, znowu nadlatują niemieckie bombowce. Tutaj to rzeczywiście na mnie nawet poleciała chmura piasku po wybuchu bomby. Wybuch bomby obsypał mnie piaskiem. Ale one pojechały, prawdopodobnie jechały na Warszawę, pojechały na wschód. Rano dojeżdżamy do Konina, jeszcze tak lekko szarówka była i już bombardują Konin. Uciekaliśmy, bo wie pani, to trzeba umieć. Z pociągu, z miejsca bombardowanego albo trzeba uciec co najmniej 100 m, albo w ogóle nie uciekać. Albo w ogóle nie uciekać. Bo bomby zawsze padały tak jakieś najczęściej 50 m od tego bombardowanego obiektu. Tam tylko raz widziałem polski samolot myśliwski. Tak, tak, tak. Co tu dużo mówić, my żeśmy nie mieli tych samolotów dużo. I w Koninie zawiadowca stacji powiedział tak: „Proszę państwa, idźcie, na razie pociąg będzie stał, a stacja i miasto jest narażone na bombardowanie. Idźcie wzdłuż torów, pociąg was dogoni”. I my żeśmy poszli wzdłuż torów, pociąg nas nigdy nie dogonił, wszystko, co daliśmy, przepadło. Ale nie tylko nam, bo wszystkim ludziom. I tak żeśmy szli, dojechaliśmy do Koła. W Kole to nawet ten wagon to był tak ostrzelany, że były części ludzkie, jakaś krew ludzka była na tych wagonach. Ale tym wagonem żeśmy jeszcze też, on też podjechał i nas podwiózł troszeczkę w kierunku Warszawy oczywiście. Tak pociąg się zatrzymał i powiedział ten maszynista, że dalej nie pojedzie, bo po prostu nie może. „Wysiądź i idźcie sobie wzdłuż toru, to może was dogonię”. I my tak żeśmy sobie szli. Idziemy, idziemy. Znowu lecą samoloty niemieckie. Po obu stronach tej drogi, takiej polnej drogi, były 2 jeziora i gospodarstwo jakieś, to nawet w te gospodarstwa, aha, my żeśmy jechali furmanką. Tam nas ktoś zabrał furmanką. To ten furman powiedział tak: „Schodźcie mi prędko z wozu”. Zatrzymał się, my żeśmy zeszli i w te chaszczki przy jeziorach, bo tam człowieka nie było widać, i on pojechał, to na tę furmankę zrzucili 2 bomby. Tacy oni byli bezczelni. I od tamtego momentu już cały czas na piechotę, na piechotę. Przeszliśmy obok Kutna, doszliśmy do Łowicza, przeszliśmy przez płonący Łowicz i tam żeśmy znowu dostali się do pociągu, pojechaliśmy w kierunku Łowicza, w kierunku Sochaczewa. I tu żeśmy nawet podjechali z 50 km, nawet długi odcinek. Tam też pociąg dalej nie pojedzie. Kazano nam z wagonu wysiąść. Wyszliśmy z wagonu, znowu idziemy, idziemy. Nawet był taki moment, że nas furmanki zabrały. A te furmanki to były podwozy wojskowe. A wojsko wiozło w tych podwodach naboje do artylerii. To i tak na tych kulach żeśmy jechali parę kilometrów. I tam gdzieś podjechaliśmy aż pod miejscowość Błonie. A Błonie to już jest dwadzieścia parę kilometrów od Warszawy, to już było blisko. Tylko że to już było koło, ja wiem, 10 września. Tu powiedzieli nam, chociaż nie, chociaż i tu jeszcze podjechaliśmy kawałek dalej do takiej miejscowości, ona jest znana. Tam Bór-Komorowski podpisywał kapitulację powstania. Taka miejscowość, Ożarów, prawie do Ożarowa. Ale tu żeśmy słyszeli już wybuchy artyleryjskie i broń maszynową. To żeśmy się z tego miejsca zaczęli wycofywać. Tak żeśmy się wycofali, po drodze idziemy, patrzymy, jakieś wojsko. Nie wiem jak inni, ale ja jako chłopak się tym interesowałem, patrzę, jakieś wojsko. A to był już patrol niemiecki. I żeśmy się wycofali do wsi, która się nazywała Chruslin. I tam żeśmy, tam tak dużo ludzi było, że tak gospodyni mówi: „Idźcie do piwnicy”. I dobrze, żeśmy poszli chociaż do tej piwnicy. Nas było... Była mama, Mieta, ja, Wanda, Alina i Teresa, 6 osób i jedna pani z córką i synem. Sporo nas weszło do tej piwnicy. Po jakimś czasie nadciągnęli do wsi. Ja nieraz sobie przypominam tę wieś. Niemieckie

wojsko z artylerią, a w Błoniu byli Polacy. I między innymi do siebie strzelali. Tylko że Polacy mieli 2 haubice, a Niemcy mieli takie małe działko. Ale jak ma się małe działko, to się ma dużo amunicji. A jak się ma ciężkie działko, to się ma mało amunicji. I tak się ci nasi z tego Błonia ostrzeliwali ze 2 dni i skończyła się amunicja. A w tej Chruślinie była plantacja pomidorów, ktoś tam miał. To my cały czas, będąc w Chruślinie, głównie żywiliśmy się tymi pomidorami. Ale te pomidory niektóre były tej wielkości, duże. Jak się rozłupało, to aż sama dosłownie mówi: „Mąka w tych pomidorach jest”. Bardzo dobre, żeśmy żyli tymi pomidorami. Nikt tego nie zbierał, bo to była hodowla tych pomidorów dla Warszawy oczywiście. Sami żeśmy te pomidory jedli. I któregoś dnia Niemcy zaczęli się zbliżać do Błonia. Zaczęli częściej strzelać z tych małych działek. To nasi jeszcze parę razy odpowiedzieli, potem przestali odpowiadać, bo nie mieli pocisków. A w tych pomidorach stanowisko zajęło polskie działko ppanc. To było doskonałe, jedno z najlepszych na świecie w tym czasie. Jak strzeliło to działko, to tam rozwalilo furmankę i tam zabiło Polaków oczywiście. Bo akurat nadjechali, to już nie widzieli. Strzelali Polacy do motoru niemieckiego i po tym strzale się wycofali. I stamtąd żeśmy poszli do Błonia, ale na piechotę dlatego, a jeszcze przedtem widziałem, jak Niemcy ciągnikami zabierali te armaty. Poszliśmy do Błonia i ta pani tam podobnież znała jakąś kobietę z przedmieścia. I tam żeśmy do tej kobiety poszli i ona nas przyjęła. Ja i nas. A ona miała gospodarkę, miała stodołę, zboże, krowy. To ja jako chłopak, trzeba było zarabiać na to jedzenie, prawda? Więc ja pasłem te krowy. I proszę pani, raz pasę te krowy. A krowa... Aha, a w tej stodole stacjonował pluton żandarmerii niemieckiej. A jakiś kilometr stamtąd był dwór i tam stał jakiś sztab niemiecki w tym dworze. Między tym plutonem a tym sztabem był położony telefon po ziemi. Ta krowa zaczęła racić o ten drut telefoniczny i ciągnie. Ja myślę sobie: zaraz, zaraz, przecież to jest początek wojny. Jak racić zerwie, to przecież Niemcy nie powiedzą, że to krowa, tylko że ludzie, zaczną represje w stosunku do nich. Ja złapałem krowę za nogę i zdjąłem to. Ale krowa nie była taka głupia, jak mnie trzepnęła, tu mnie trzepnęła kopytem. Aż się przewróciłem. Tak żeśmy byli do 2 września. Między innymi moja mama kończyła szkołę niemiecką i umiała mówić lepiej po niemiecku niż ci Niemcy. I był tam taki jeden Otto Hein, Niemiec. On miał z 20 lat, a moja siostra miała wtedy chyba z 16. I on się zaczął zalecać do tej mojej siostry. Otto Hein. I on zresztą potem nawet do niej pisał list na Leszczyńską. Na tym się skończyło oczywiście. I ten Otto Hein załatwił nam wagon do Warszawy. Po jakichś kilku dniach ten Otto Hein właśnie... A jeszcze nie powiedziałem jednej rzeczy. Dawniejsze miasteczka i te wioski, a przede wszystkim miasteczka, to bardzo dużo Żydów mieszkało. I w Błoniu też. A Niemcy... Wtedy poszedłem z mamą do Błonia, do miasta, bo tam ten gospodarz mieszkał na przedmieściu. To tam widziałem tych Żydów, jak pracowali. Ja to kiedyś opisywałem, ja mam nawet to opisanie, ten moment, jak Żydzi w Błoniu z placu tego, co jest starostwo, gołymi rękami musieli łajno zbierać końskie i krowie. Gołymi rękami, bo jak nie, to dostawali lanie. Ja pani powiem jedną rzecz, ja to taki jestem domorośły poeta, bo ja to napisałem parę książek, ale wierszem. Nie prozą, ja wierszem tylko pisałem. Bo moje książki są tak, w Holandii, tak, w Holandii są, w Niemczech. Oj, jak ja jeden wiersz napisałem o rozwałce tych ludzi w getcie, przecież pani słyszała o tym fakcie.

Julia Krajewska: Tak, oczywiście.

Roman Lipiec: To ich tam ponad 50 000. To 6 sierpnia jest zawsze uroczystość. Ja w swoim gremium, bo należę do kółka powstańczego, przeczytałem, to ci moi koledzy: „Ty, słuchaj, o nie, ty tego nie daj, tego wiersza do czytania, bo długo nie pożyjesz”. I on jest gdzieś tam, gdzieś go wsadziłem, nawet nie wiem gdzie, ale to jest tak mocny wiersz. Tam jest o tym mordzie, to jest wiersz, on nie jest taki bardzo długi, o mordzie wolskim.

Bo przecież Szaniawski za swoją publikację został strącony z gór.

Julia Krajewska: To może wróćmy teraz do tej historii, jesteśmy w tym Błoniu i ten Niemiec załatwił państwu wagon do Warszawy. I co się dzieje dalej?

Roman Lipiec: Pojechaliśmy, wsiedliśmy, do stacji to był nawet kawałek drogi. Jak pojechaliśmy tam, poszliśmy na tę stację, tam nas załadowano na wagon. Pojechaliśmy do Warszawy, ale w Warszawie pociąg stawał tam, jak w tej chwili jest Warszawa Zachodnia, to z tej Warszawy Zachodniej trzeba już iść na piechotę, a mój ojciec mieszkał na ulicy Leszczyńskiej, czyli na Powiślu, to jest kawałek drogi. Szliśmy, to ojca jeszcze nie było. Przyszedł dopiero na drugi dzień.

Julia Krajewska: A do tej Warszawy już pana rodzina i pan dojechaliście po kapitulacji Warszawy czy jeszcze przed?

Roman Lipiec: Nie, po kapitulacji. 1 czy 2 października. I od tej daty jest moje zameldowanie w Warszawie. I ja do Poznania już nie wróciłem. To było w czerwcu, jeszcze chodziłem do szkoły. Ale to ostatnie dni. I tak jesteśmy z kolegami, przed torami taki ugor był. I latały nasze Karasie, bo tam nieraz to było i 30 sztuk, i więcej. W pewnym momencie widzimy, 2 z nich zderzają się nad lasem w Strzeszynie. Tam żeśmy chodzili się kąpać do tego Strzeszyna. No i spadły, żeśmy pobiegli tam. Sześciu lotników od razu zginęło, w jednej sekundzie sześciu. Tu konstruktor zrobił błąd, bo sztukas niemiecki, podobnej konstrukcji, miał 2 lotników, pilota i strzelca pokładowego. A nasz Karaś miał 3, pilota, obserwatora i strzelca pokładowego. Od razu 6 chłopaków zginęło. Jak żeśmy tam zajechali, to wszyscy już nie żyli oczywiście. Jeden spadł i się spalił, i się spalili, a drugi spadł w las, to się zarył w lesie i ci ludzie się też zaryli. Tak że rzeczywiście szkoda tych chłopaków było. Nie szli do wojny, a do wojny było jeszcze chyba ze 2 miesiące. Na wojnie jakby zginął, to już trudno, ale w takim głupim, prawda?

Julia Krajewska: Przed wojną jeszcze.

Roman Lipiec: Tak, przed wojną w takiej głupiej katastrofie.

Julia Krajewska: W takim razie teraz jesteśmy na tym etapie, gdzie jesteście na Dworcu Zachodnim i zmierzacie na Powiśle, tak?

Roman Lipiec: Tak.

Julia Krajewska: Proszę kontynuować w takim razie.

Roman Lipiec: To idziemy tu, najpierw z Dworca Zachodniego wchodzimy w Aleje Jerozolimskie, tak, tak jest. I tymi Alejami Jerozolimskimi doszliśmy do Nowego Świata. W Nowym Świecie doszliśmy do ulicy Kopernika. To wszystko, wie pani, nie było tak spalone tak bardzo. Nie było tak spalone, jak się wydawało. A przecież tych samolotów leciało

dużo. Początkowo to nasi mieli tę brygadę pościgową i ta brygada pościgowa z nimi walczyła. I strącała je. I artyleria. Potem to naszym zabrakło amunicji do artylerii. Samolotów zabrakło. Doszliśmy do Kopernika, Kopernika do Tamki, Tamkę do ulicy Topiel i Topiel już do Leszczyńskiej. Domy stoją i, proszę panią, tak, co po tych wielkich bombardowaniach, a te plejady samolotów latały po 30, tam 30 sztuk to była taka, bo były i po 60. Były też takie małe, po 12 sztuk, ale to było bardzo mało. Najwięcej to było takich 30, 40, 50 sztuk. Lecą w zwartym szyku. A z powrotem to często wracają po rozbiciu, tak jakby nasi tam jeszcze jakiś opór stawiali. Teraz tak, mieszkanie otwarte, mama weszła i gospodarujemy się. Co żeśmy mieli, jakieś tam garnki były, przede wszystkim trzeba dla tych dzieciaków, bo przecież Teresa miała bardzo mało, może miała ze 3 latka, tak, jak się w ,35 urodziła.

Julia Krajewska: To 4 latka.

Roman Lipiec: To 4 latka, to małe dziecko było. I, proszę pani, ja zacząłem zwiedzać Warszawę. Ulica Leszczyńska to była krótka ulica. Pierwszy dom to była rektyfikacja, mieli budynek, spalony. Potem była wytwórnia filmowa, czwórka cała, szóstka cała, ósemka cała, dziesiątka cała, dwunastka cała, czternastka cała i szesnastka cała. Żaden nieuszkodzony, żaden nawet nieruszony, niedrażnięty. Tam przy Browarnej trochę takiego zamieszania było. Po drugiej stronie była elektrownia, a tu były nieparzyste. Trójka to fabryka była tych rowerów, nieruszona. Potem była piątka nieruszona, siódemka nieruszona. Dziewiątka to był wielki pięciopiętrowy dom. Nieruszony, dopiero spalony był. Jedenastka, taka willa, ona była spalona, tylko spalona, nic więcej. Tam musieliśmy zacząć zupełnie nowe życie. Na Topieli tak samo. Żaden dom niezbombardowany. Dopiero na Tamce, róg Tamki i przy Topieli to były zbombardowane domy bombą burzącą. A tak wszystko stało. Jeszcze jeden dom był na Kopernika spalony i na róg Dobrej i Tamki też były zbombardowane. To po takich bombardowaniach to duże szkody nie były, zbyt duże szkody. Zresztą nasi Polacy też tak nie bardzo się mieli czym bronić, bo amunicji brakowało, jedzenia brakowało. Tu róg, tu przy dworcu, jak pani zamieszkała w Warszawie, to już nie było tej stacji kolejowej. Stacja kolejowa Mosty, wąskotorówka między Legionowem a Karczewem kursowała, to była stacja główna. To na tej plaży stało działko przeciwlotnicze, pozostawione przez Polaków. Wie pani co? To Niemcy dopiero tak, w ,41 roku dopiero zabrali to działko, na złom oczywiście, na złom. Most Poniatowskiego nieruszony, most Kierbedzia nieruszony, most kolejowy nieruszony i jeden most kolejowy przy Cytadeli też nieruszony. Tak że Niemcy zbyt dużo sukcesów nie odnieśli. Tylko niepotrzebnie oni spalili, zbombardowali fabrykę samochodów osobowych. Polską fabrykę, Fiat, polskiego Fiata. Niepotrzebnie zbombardowali i spalili. I się spaliło. A tu po Warszawie, owszem, po Warszawie jeszcze na Świętokrzyskiej, przy Nowym Świecie, parę domów było zbombardowanych i spalonych. Ale drapacz cały stał. Poczta stała. To wszystko stało. Był tu róg Marszałkowskiej i Świętokrzyskiej. Tu jakiś Niemiec zrzucił ciężką bombę. Sześciopiętrowy dom, taki nowoczesny. To rzeczywiście bomba od szóstego piętra poleciała do piwnicy. Rzeczywiście. Ale Zielna czy inna, tam wszystko stało. Marszałkowska. Od mostu Kierbedzia stał budynek Schichta. On też do tej pory stoi, bo nie został zburzony. To na Dobrą jeździły P i Z, dwa tramwaje. Czyli tamci miejscowi mówili tak, że „policjant goni złodzieja”. A potem Niemcy zrobili dwójkę. Tylko dwójka jeździła. I ta dwójka jeździła ulicami Powiśla, Książęcą, Ludną, Książęcą, Nowym Światem, Nowym Zjazdem i znowu Dobrą. Czyli miała bardzo krótką trasę, ale była bardzo sprawna i dobra dla mieszkańców Powiśla, bo szybko się można było dostać na Nowy Świat. Bo ja np., młodzi ludzie to szli Bednarską albo Oboźną na Krakowskie. To szli na piechotę. Ja zresztą też bardzo często szedłem na piechotę, ale jak potem już pracowałem w elektrowni, miałem czapkę z bączkiem na głowie, byłem prawie że nietykalny. To było

bardzo ważne, czapka MZK z elektrowni i z tego... I ci, co sprzątają, ZOM. Ojciec pracował w elektrowni i żeby ogrzać mieszkanie, to mama uszyła igłą ręcznie taki woreczek, że tam wchodziło ze 3 kg węgla. I ojciec sobie ten woreczek wypełniał grysikiem, takim węgielkiem, na brzuch i to przynosił codziennie do domu, taką porcję węgla, żeby ogrzać w zimę, a latem, żeby ugotować. Nie, pracy żadnej nie było. Dla dorosłych to była praca. Ale ta praca nie dawała właściwie środków do życia. Bo jak ja zacząłem pracować, przepraszam, że tak przerywam, w elektrowni, to moja pensja była 80 złotych, 90 złotych na tydzień. No co to za pensja była? A potem jak ja zacząłem robić kremy, to w tydzień zarobiłem 2–3 tysiące. O, to była pensja. Jak kremy zacząłem robić. Po wojnie spotkałem takiego, nie wiem, jak się nazywał. Nie, nie pamiętam. Mówi: „Panie, ma pan...”. To był grudzień 1900... Tak, jeszcze 1900... Grudzień 1995 rok, jak ja wróciłem, ten pan mówi: „Panie, ja panu daję 100 tysięcy złotych, niech pan zaczyna”. A ja mówię: „Proszę pana, ja tych 100 tysięcy złotych nie wezmę, najpierw muszę się rozeznać, czy w ogóle można”, bo w okresie okupacji można było, bo w okresie okupacji pani mogła sobie załatwić drukarnię, mogła pani sobie załatwić słoiki, że pani zrobili, pudełka, to wszystko wolno było. A w okresie już PRL-u za taką ulotkę można było dostać 5 lat więzienia. Główną ulicą taką warszawską to była Poznańska. O, przedtem zapomniałem, że ta ulica się nazywa Poznańska. Na Poznańskiej główne życie przemysłowe, handlowe właśnie się koncentrowało. Ja tam poszedłem po tych drukarniach, tam były chyba ze 3 drukarnie, to jeden po prostu mi aż ubliżył, mówi: „Wypieprzaj, co ty chcesz, żebym ja we włoskim więzieniu zginął?”. Nie wolno było. Każdy druk, nadruk musiał mieć akceptację Urzędu Bezpieczeństwa. A kto by mi zrobił banderolę, podpisał na kremy, skąd, nawet gdybym dawał łapówki, też by nie dał. Też by nie zrobili. I nie podjąłem się robić kremów. A dzisiaj to ja już nie umiałbym.

Julia Krajewska: A co to były za kremy?

Roman Lipiec: To były kremy na piegi. Myśmy nawet wysyłali do Kijowa, do Lwowa, myśmy na całą Polskę głównie. Myśmy głównie na Polskę i za granicę wysyłali te kremy. Dobre czasy, wtedy kieszeń pełna gotówki. Facet do mnie mówi: „Wiesz co, Roman, chodź tutaj, jest taka knajpa, wiesz, tam się zbieramy”, a ja mówię: „Wiesz co, ja nie pójdę, przepraszam, masz 50 złotych”. To miał litr bimbru za 50 złotych. „Masz 50 złotych, ja nie pójdę. Ja jestem umówiony z dziewczyną”. Ona nie była wtedy jeszcze moją małżonką. To jest śliczna dziewczyna, bardzo ładna dziewczyna. Zresztą córka jest, a ona jest ostatnim jej dzieckiem, to była śliczna dziewczyna moja żona, a jej matka została wywieziona. Ja nawet, bo ja cały czas byłem w Śródmieściu drugim, w Śródmieściu Południowym walczyłem w oddziale, ale udało mi się wyrwać na Powiśle, ale już było zajęte. Ta część do Karowej była zajęta przez Niemców. Od Mostu Poniatowskiego, a żona właśnie tam mieszkała z rodziną.

Julia Krajewska: Czym się pan zajmował właściwie od tamtej pory do powstania?

Roman Lipiec: Początkowo niczym się nie zajmowałem, tylko pomagałem mamie tam coś robić. A potem byłem troszeczkę większy, troszeczkę silniejszy, to jeździłem rowerem na wieś po różne rzeczy, po kartofle, po jajka, po mąkę, po olej, po rąbankę. I raz miałem taki przypadek, wtedy jechałem sam. Nie, wtedy jechałem w grupie. I pod Rawą Mazowiecką, a to jeszcze było 80 km do Warszawy, osłabłem, nie mogłem jechać, ale dobrze jechać, tak jak mówią, w peletonie, w grupie, ale nie mogę. Peleton pojechał, przecież nie będą czekać na mnie, pojechali tą szosą na Babsk, potem na Mszczonów. Z Mszczonowa było jeszcze 50 km do Warszawy. Ja siedzę, wzdycham, wzdycham.

W pewnym momencie: zaraz, zaraz, przecież ja mam jajka. Ja mam jajka przecież, nie w chlebaku, tylko zapakowane w jakiejś torbie. Biorę jedno, rozbijam, wypijam. Drugie. Sześć sztuk wypięłem jajek! Na surowo. Siedzę, siedzę, siedzę, patrzę, a tu wszystko we mnie tężeje! Czas na rower wskoczyć. A miałem bardzo dobry rower. Wskoczyłem na rower, dogoniłem ich, ich było sześciu, dogoniłem ich. I razem z nimi przyjechałem do Warszawy. Tak jajka działają odżywczo na organizm. Jajka surowe, nie gotowane, nie smażone, tylko surowe. A szosa między Warszawą a Rawą Mazowiecką to była albo asfaltowa, albo z kostki bazaltowej. A różnica polegała na tym, że jak się zjeżdżało z asfaltu na tę kostkę, to się odczuwało fizycznie, że ktoś człowieka popchnął do przodu. A jak się zjeżdżało z kostki na asfalt, to się odczuwało fizycznie, że ktoś człowieka zahamował. Bo między Rawą Mazowiecką a Nowym Miastem to była taka szutrowa droga, marna, trzeba było przy drzewach jechać. Bardzo marna. I to się jechało długo, długo, bo tam można było jechać nawet... Ja tam do wyścigowców nie należałem, bo zawsze z towarem. Ale mój stryjek Stacho, który został rozstrzelany w Radomiu, to on się lubił ścigać. Ja kiedyś jego rowerem jechałem, to się namordowałem, bo miał takie nowoczesne świcidelka, hamulce, nie-hamulce. I głównie to jeździłem ja, ojciec i Stasiek. W trójkę jeździliśmy. Ale najczęściej to ja z samym Staśkiem. Ojciec to miał inne sprawy, bo musiał iść do pracy, żeby zarobić na Ausweis, bo mnie jeszcze tak nie obowiązywał. A Stasiek to miał w nosie Ausweis, nie wiem dlaczego. Został zastrzelony. Najczęściej, bardzo często, 50% Niemcy zabili ludzi przez to, że ten człowiek sam sobie był winien, bo przyszedł do Staśka do chatupy, bo on był kawalerem, potem wziął się ożenił, wziął się ożenił z dziewczyną, która miała gospodarkę, to zaczął pracować na tej gospodarce, a jak na gospodarce, to musiała mieć i stodołę, i oborę, i chlew, i kurnik jeszcze. I właśnie Stasiek miał stodołę, a w tej stodole miał pięciu Ruskich. I ktoś poszedł, doniósł, że on przechowuje Ruskich, przyjechali. Ruscy uciekli, a Stasiek był na polu. Pojechali na pole, ludzie go ostrzegli: „Ty, Stasiek, uciekaj, bo jadą po ciebie za to, że trzymasz Ruskich”. On nie powinien wracać do domu, a on wrócił do domu. Tylko go policja złapała i zawiozła do Radomia. I na terenie policji, na dziedzińcu na terenie policji został zastrzelony przez swoją głupotę, bo nie powinien wracać.